



## == Pismo Ilustrowane dla Kobiet ==

### PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie**  
Kwartalnie . . . . . rs. 1.  
Za odosłanie do domu kwartalnie kopiejek 10.  
**Na prowincyi**  
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakeyi i Administracyi:  
**Warszawa, Chmielna № 26.**

TELEFONU 106.

### PRENUMERATA WYNOSI

**We Lwowie i Krakowie**  
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.  
**W Poznaniu**  
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.  
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petittem kop. 12.

## OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

**W Warszawie: kwartalnie rs. 1.**

**Na prowincyi z przesyłką pocztową:**

**kwartalnie rs. 1 kop. 25.**

**półrocznie rs. 2 kop. 50.**

**rocznie rs. 5.**

Adres: „Tygodnika mód i powieści”  
w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacjach.

**Za zmianę adresu kop. 15.**

Antoni Miecznik.

## OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Poślubiła tego Szymonowicza, do którego zresztą po kilku latach pożycia przyzwyczaiła się zupełnie. Nie kochała go wprawdzie tą pierwszą, gorącą miłością, ale go szanowała i lubiła za jego dobroć i delikatność, której nie doświadczyła ani od ojca, ani od braci. Człowiek ten umiał sobie zjednać ją łagodnością i taktem, kochał ją zawsze jednakowo, spokojnie. Zaraz po pierwszym roku małżeńskiego pożycia urodził im się syn, którego jednak wkrótce stracili; potem przyszła na świat córka. Oboje miłowali to dziecko jedyne, małą Zosię, dziewczynkę sprytną, inteligentną. Zosia łączyła ich ściślej i wytwarzała pomiędzy nimi harmonię małżeńską, którą ludzie zwykli nazywać szczęściem.

Życie byłoby im schodziło zwyczajnym trybem. Młoda kobieta już nie czuła tego ciężaru losu, jaki ją w początkach przygniatał, miała wytknięty kierunek myśli. Na Zosi skupiła się cała rzewność i czułość kobieca.

O poetycznym towarzyszu młodości swojej nie zapomniiała, nie mogła zapomnieć, stał się on dla niej tem lubem technieniem, co ją owiewało i godziło z życiem. W sercu nosiła wieczne wspomnienie chwil szczęśliwych, najszcześniejszych. Nic o nim prawie od chwili wyjazdu nie słyszała; raz tylko jej serce żywiej zabiło, kiedy młody Domaszkan wracając z Odessy opowiadał ja-

kieś nieprawdopodobne wieści o Ohanie i jego szczęściu kupieckiem. Nie przypuszczała, żeby to było prawdą; skłonniejszą teraz była uwierzyć, że on tam gdzieś przepadł w wirze dalekiego świata i zapomniał o niej, a jeżeli pamiętał, to pamięć ta słabo tleć musiała w jego duszy.

Tymczasem los znowu ich zbliżył; Owanes wrócił młody, piękny, bogaty i był w tej chwili ich sąsiadem najbliższym.

Od chwili pierwszego spotkania z nim młoda kobieta czuła przypływ kiwi do serca. Ogień, który uważała za wygasły oddawna rozpalil się płomiennie. Każde słowo, każde spojrzenie Owanesa rozżarzało go. Było jej rozkosznie widząc jak wspomnienia z przed lat dziesięciu ożywają, zajmują jej umysł i wyobraźnię, a zarazem bała się ich; jakaś nieodgadniona trwoga chwytala ją za serce na samą myśl o Ohanie.

### III.

Już miesiąc minął, odkąd Ohana osiadł w Nikoresztach. Przez ten czas krótki zdążył poodnawiać dawne znajomości i wejść w to życie obywatelskie, od którego odwykł był na obczyźnie. Przyjmowano go wszędzie z wyszukaną uprzejmością, gdyż wieść o milionerze rozbiegła się zaraz po wszystkich odajach.

Opowiadano sobie o nim dziwy, anegdoty prawie; ztąd ta ciekawość, która dawnych znajomych ku niemu ciągnęła. Każdy go pragnął widzieć, poznać bliżej, rozmawiać z nim. Jedni mu zazdrościli, inni znowu ograniczali się na zdumieniu. Pan Kajetan, do którego Ohana również zawitał, niebawem po pierwszej wizycie u Szymonowiczów, spoglądał na niego z miną niby to zadowoloną, lecz zarazem i podrażnioną trochę. Nie mogło mu się w głowie zmieścić, że taki syn klucznika, pisarczyk, przeobraził się w pana



to w jakiego pana — magnata, a tymczasem ani jeden z synów jego nietylko, że nie dochrapał się fortuny, ale ograniczał się do zjadania majątku ojcowskiego.

Owanes, jakby chcąc kompletnie zadowolnić pychę swą, i wprawić wszystkich w zdumienie, niczego nie żałował, by się wyróżnić, by stanąć ponad poziom życia tych obywateli stepowych. Pochlebiali mu to, kiedy z boku usłyszał słowa pochwały i zazdrości; pragnął ich, wynagradzały mu choć w części lata spędzone na tułaczce i poniewierce wśród ludzi. Gdy go Grecy, Turcy, Włosi wynosili i podziwiali, było mu obojętnem, oni przecież nie mogli pojąć tej siły tajemnej, która nim kierowała w pogoni za groszem. Ale ci, swoi prawie, ci, co go znali niczem, ci, o których mu chodziło, stawali się mimowiednie głosicielami jego szczęścia, jego potęgi. Widział ich teraz tych, którzy przed laty mówić z nim nie chcieli, kłaniających mu się i dopominających o odwiedzenie ich domów jakby o zaszczyt jaki. Upajało go to i napępiało dziwną rozkoszą, przypuszczał bowiem, że owe echa i do niej, do tej ukochanej dochodzą. Przeczował, co się w sercu tej kobiety dzieć mogło, kiedy słyszała na wszystkie strony jedno: a to dopiero! do czego ten człowiek rozumem dojść potrafił. To ją musiało budzić gwałtownie do życia dawnego, musiało w niej wywoływać cały szereg obrazów, przypominać miłość młodocianą.

Nie mylił się; każda wizyta jego zostawiała po sobie ślady, wrażenie niezatarte w umyśle i sercu młodej kobiety. Ona się już teraz upajała dźwiękiem jego głosu, połyskiem płomienych oczu; każdy ruch jego potężnej i pięknej postaci drażnił, niepokoił ją. Gdy go nie widziała, brakowało jej czegoś; tęsknota dręczyła ją ciągle i czekała bezwiednie jego przybycia. Mąż tych zmian w jej sercu nie dostrzegał, widział ją zawsze taką samą, może tylko cokolwiek żywszą, jak gdyby krew w niej szybciej krążyć zaczynała. Dawna melancholia, która czasami występowała na jej oblicze zasłaniając oczy czarne powłoczem smętnem — przepadła, rozwiała się — teraz natomiast jakaś wesołość tryskać się zdawała z jej ruchów. Szymonowicz był zadowolony, przypisywał to wiosnie wcześniejszej w tym roku, jej technieniu ożywczemu.

Ohana powoli przywykał do nowej roli swej, obywatela stepowego. W ciągu miesiąca zdołał uregulować stanowczo interesy handlowe, ulokować korzystnie w różnych przedsiębiorstwach kapitały, które mu pozostały jeszcze w gotówce. Skończywszy w ten sposób swoje dawne zajęcia kupieckie, wziął się odrazu, jednym rzutem energii do uporządkowania majątku.

Przyjrząwszy się baczniej kupionym Nikoresztom, Ohana zaraz zmiarkował, że to nie taki świetny interes, jak myślał z początku. Ziemia leżała odłogiem w znacznej części, inwentarza nie było prawie żadnego, budynki w ruinie; sama rezydencja ogromna, a pańska z pozoru, chyliła się do upadku.

Wiosna się zbliżała, nie można było tracić dnia jednego, a on w dodatku chciał natychmiast postawić majątek na właściwej stopie.

Zrazu zamierzył oczyścić z kłakolu służbę i oficjalistów, w których widział gromadę złodziei, oszustów z rządcą Palejem — ich hersztem na czele, ale się wstrzymał po namyśle, przewidując, że po wypędzeniu wszystkich zostałby bez służby zupełnie. Usunąwszy tedy najszkodliwszych, zastąpił ich ludźmi nowymi. Paleja nie ruszył

wcale ze względu, że człowiek ten chociaż lotr, mógł mu być czas jakiś użytecznym, on jeden tylko znał majątek dokładnie i umiał się oryentować w całej jego machinie administracyjnej. Nie lękał się Ohana malwersacyj, gdyż wiedział zgóry, że przed jego bacznym wzrokiem nic ukryć się nie zdoła, a czuł już teraz, jak go się Palej lęka, jak spogląda z obawą na jego wyniosłą postać, jak mu się stara przypodobać natychmiastową gotowością do wszystkich usług. Poznał w nim człowieka sprytnego i zmyślnego, a że jest złodziejem — rozumował sobie w duchu — to właściwie mówiąc, nie jego tylko wina; gdyby mu nie byli dano sposobności kradzieży, byłby może dotąd uczciwym człowiekiem. Zresztą samemu Ohanie trudno byłoby się uporać z całą czeredą nikoreskich pasożytów; nie wszędzie mógł zajrzeć, ale na szczęście miał on przy sobie człowieka, który mu był oddany duszą i ciałem.

Nazywał się ten pomocnik i wykonawca sumienny wszystkich jego planów, Tigranes Zacharyasz. Był Ormianinem z urodzenia, wychowania i charakteru. Poznał go Ohana przypadkiem w Konstantynopolu, kiedy tam przemieszkował, wziął go za sekretarza swego i przywiązał do siebie dobrocią i serdecznością. Tigranes powoli wdrożył się w całą działalność swego pana, a wywdzięczając mu się za względy szczególne, jakich doznawał, służył z oddaniem się całkowicie jego interesom. Jakkolwiek młody jeszcze, już jednak wrodzonym sprytem i przebiegłością umiał być swemu panu w wielu sprawach bardzo pożytecznym. Ohana lubił go za to, że był czystej krwi Ormianinem, a ta ormiańszczyzna zawsze i wszędzie pociągała go ku sobie i nęciła; miał wielką satysfakcję, iż mógł się wywnętrzyć ze swych uczuć przed kimś, co odgadywał jego myśli nieledwie, a zarazem mówił tym językiem, który on od dzieciństwa ukochał tak serdecznie. Dziwny też był stosunek między pryncypałem i jego młodym sekretarzem; łączyła ich ta nie życzliwości szczerzej, która z biegiem czasu, pomimo natury stosunku wzajemnego, w przyjaźń nawet przerodzić się może.

Była właśnie godzina ósma rano, kiedy Ohana, wypiwszy obyczajem greckim kilka filiżanek kawy czarnej, wyszedł w dziedziniec, aby się przyjrzeć restauracji pałacu. Sam mieszkał dotychczas w oficynie, stanowiącej prawie skrzydło głównego pawilonu. Z konieczności musiał zając skromne dwa pokoiki, bo rady innej nie było; gmach olbrzymi w ruinie, dopiero po gruntownej odnowie stać się mógł mieszkalnym. Nie dbał o niewygodę chwilową, tem więcej że przypominała mu młode lata, spędzone w oficynach różnych.

Słońce świeciło i ogrzewało ziemię powstałą z letargu zimowego. Promienie ślizgały się po drzewach, poczynających okrywać się zielenią młodziutkich liści, pełzały po trawnikach szmaragdowych, a harmonijny świergot ptactwa ożywiał zbitą gęstwinę alej lipowych, otaczających pierścieniem ogród.

Spostrzegłszy przed pałacem Paleja, rozmawiającego z jakimś pobożnej postawy żydem, zawołał go do siebie.

— Mój kochany Paleju — rzekł, — powiedz mi, czyś ogłosił na dzisiaj stawienie się do mnie dostawcom mięsa, bryndzy, robotników, jednym słowem wszystkim tym ludziom, o których mówił miśm wczoraj?

— Ogłosiłem, domnule! Przyjdą przed południem wszyscy, z wyjątkiem Dawida Blejera, który nie może przybyć, bo jest chory; mówił, że zjawi się w Poniedziałek dopiero.

— Dobrze, czekam na nich.

— Tylko niech domnule...

Ohana spojrzał ironicznie na rządcę i rzekł:

— Przypominam ci po raz setny, że nie jestem domnulem, tylko zwyczajnym panem.

Palej trochę się zmieszał tą uwagą, wtrącił więc nieśmiało:

— Ja byłem przyzwyczajony wszystkich Sabescu tak tytułować.

— Nie wszyscy są Sabescu, mój kochany. Niech oni sobie będą domnami, a ja zostanę bojarem. — A wracając do przerwanej rozmowy, mówił dalej. — Więc się zjawia przed południem ten Rosmaner, Muterson i inni?

— Obiecali.

— Nie ma żadnych obietnic; ja nie rozumiem obietnic!

— Wiem, bojeru.

— To dobrze, kiedy już nauczyłeś się wiedzieć, jak ja myślę.

Zatrzymał się chwilę, a potem spojrzawszy Rumunowi bystro w oczy, odezwał się:

— Teraz chciałbym dowiedzieć się od ciebie coś o stanie mojego majątku. Słuchaj więc i odpowiadaj krótko; gadułów nie cierpię.

— Słucham.

— Powiedz mi, ile zasiewacie faler pszenicy rok rocznie?

— Tysiąc pięćset — brzmiała odpowiedź.

— To mało, bo zdatnego gruntu pod pszenicę przypada w Nikoresztach trzy tysiące faler na każdy rok.

— Ale, bojeru, drugie tysiąc pięćset idzie pod ugór.

— Po co? Przecież można z pięćset nawieźć, a na tysiącu siał rzepak lub kukurydzę.

— My tak nie robiliśmy nigdy; rzepaku nie sialiśmy wcale, a pod kukurydzę, jęczmień i owies mamy jeszcze sporo ziemi.

— To źle! Dlatego też ten Sabescu poszedł na dziady — i spojrzał z ukosa na stojącego w pokornej postawie oficjalistę. — Ja na dziady iść nie myślę i nie pójdę, muszę więc mieć trzy razy tyle, co poprzedni wasz dziedzic. Otóż uważ: całe trzy tysiące faler mają być zasiane pszenicą!

— Kiedy oziminy mamy tylko w polu ośmset dotychczas.

— Jaki ośmset? Przecież mi Sabescu mówił, że jest tysiąc pięćset.

— Mówił, mówił — powtarzał wolno zatrwożony Palej, widział bowiem rosnące rozdrażnienie pana, — ale cóż było począć, kiedy nie mieliśmy więcej zboża do siewu; ze spichrza pszenica została do ostatniego ziarna sprzedana, innej nie było za co kupić, gdyż pieniędzy nikt pożyczć nie chciał.

— Tak, tak... to trudno... Musi być jednak zasiane przynajmniej dwa tysiące pięćset, rozumiesz?

— Rozumiem, bojeru!

— Mając więc ośmset faler ozimej, potrzebujemy jeszcze zasiał tysiąc siedmset pszenicą jarą.

— Kiedy jej nie ma!

— Co to nie ma... Kupić!

W tej chwili zauważył Tigranesa, który szybko szedł ku niemu. Palej patrzył na nadchodzącego Ormianina z pewnym rodzajem bojaźni.



Nie mógł się dotychczas z nim rozmówić dokładnie, bo Zacharyasz nie nauczył się dotąd miejscowej gwary rumuńsko-rusińskiej. Z początku zdawało mu się, że będzie można tego czarnego psa, jak go nazywał, w błąd wprowadzić nieraz, tymczasem omylił się, bo Tigranes nie tylko od razu się zorientował w sytuacji i w warunkach miejscowych, ale trafił nawet na te ukryte nitki małych intryg folwarcznych, jakimi rządca chciał otoczyć Ohanę.

— Czy tam interes jaki? — zapytał Owanes Zacharyasza po ormiańsku.

— Tak, panie! Ten architekt, co to ma pałac przerabiał, przyjechał właśnie z Odessy i chciał się z panem osobiście rozmówić.

— Niech zaczeka! Tymczasem zaś, proszę cię posłuchaj, co mi ten rabuś będzie opowiadał.

I ciągnął zaczęłą rozmowę z Palejem.

— Więc trzeba kupić pszenicy i zasiał te tysiąc siedmset faler.

— Dobrze, bojeru. Ja kupię od Wiledorfa z Mohilowa, jeżeli pan każe.

— Nie, mój kochany, ja sam kupię, tobie zaś pszenica zostanie wydana.

Palej się skrzywił lekko, jakby coś przełknął niesmacznego. Ohana zaś zwracając się do Tigranesa powiedział:

— Dowiesz się, proszę, jaka jest cena pszenicy jarej w Mohilowie i w okolicy, kupisz jak będzie można najtaniej, wydasz ją Palejowi do zasiewu i przypilnujesz, by ani ziarna nie ukradł.

— Rozumiem.

Palej wtrącił:

— Tylko, bojeru, tego zwlekać nie można, teraz pora najlepsza, siać czas wielki.

— Już się ty o to nie martw, ja nigdy nie odkładam. Jutro wieczorem pszenicę ci pan Tigranes wyda, a od środy masz ją zacząć siać. Zrozumiałeś?

— Tak, bojeru!

— A teraz, co do inwentarza. Przyglądam mu się i nie mogę wyjść z podziwu, jak wyście mogli orać w takie nędzne konie i woły. Toć one nie są w stanie wózka marnego pociągnąć.

— Nie było innych. Co lepsze musiałem sprzedać, bo domnule Sabescu żądał pieniędzy — odrzekł prędko Palej, przyzwyczajony już teraz każdy nieporządek zwać na zbankrutowanego magnata.

— Tak, ale do was należało mu wytłómaczyć, że w psy i koty w polu się nie robi.

— To nie nasza rzecz, bojeru — odparł z lekką ironią w głosie rządca, — nasza rzecz była posłać pieniądze do Bukaresztu, lub do Odessy. Domnule Sabescu w to nie wchodził, z kąd one się brały, te krwawe karbowanice.

Ohana widział, że wobec takiej logiki próżne są dalsze gawędy na ów jałowy temat. Przerwał więc dalszą rozmowę pytaniem.

— Więc ile potrzeba koni, ile wołów? Wszystko musi być w porządku.

Palej zamyślił się, jakby coś kalkulując w głowie, a potem odrzekł:

— Koni zdaloby się z pięćdziesiąt co najmniej, wołów i krów ze sto.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Warszawa, w Sierpniu 1896 r.

Dzięki przedłużonym wakacyom młodzieży, wydłużonym jeszcze miasto nasze do tej pory, a przy krótszym dniu jesiennym i nieustannych deszczach tegorocznych, szczególnie posępnie przedstawia się Warszawa. Na widowiskach pustki, kupcy drobni i więksi nastrojeni melancholijnie; w godzinach poobiednich daremnie ogląda się przykuty do bruku Warszawiak za jakąś bliżej znajomą jedną i drugą twarzą, i byłoby zupełnie nawet martwo w ogrodach i miejscach spacerowych, gdyby tych plantacji naszych, powiedzmy grzecznie... nie ożywiała ludność Nalewek, Gęsich, Krochmalnych ulic, i innych najpowabniejszych dzielnic, wyjątkowo hojnie pod tym względem uposażonej Warszawy.

Tak jest, na przechadzkach semicki typ panujący na teraz u nas, a że sprawozdania z miejsc kuracyjnych i mieszkań letnich ciągle powtarzają, że i tam na owym pierwiastku sympatycznym nie zbywa bynajmniej, więc możemy mieć otuchę, że i nam i tamtym wystarczy, i że tej pomyślności przybywać nam będzie z rokiem każdym w takim stosunku, który nas co do losu dzieci i wnuków naszych zupełnie uspokajać powinien.

W prasie poważnej resztki martwego sezonu pozwalają przewidywać blizkie ożywienie, którego dosyć niecierpliwie wygląda publiczność czytająca — w prasie wojującej jeszcze echa „Puszczy Studzienickiej,” jeszcze od czasu do czasu strzał jakiś padnie z jednej lub drugiej strony, w codziennej byłby krach chyba zupełny, gdyby los nie był zesłał wielkiej doniosłości wypadku, który pozwalał na zapełnianie szpalt całych, i polemikę namiętą przez ciąg kilku dni, a wraz z przypomnieniami kilkunastu nawet może.

Miejscowi czytelnicy zrozumieją od razu, że mówimy tu o naszym 300 to wiorstowym rekordzie; czytelnikowi dalszemu pragniemy wytłómaczyć, czem się zajęła, nie powiemy Warszawa sama, bo jej w ten sposób sądzić nie myślimy, ale czem uwagę tej biednej Warszawy usiłowało zaprzęgnąć jej piśmiennictwo codzienne. Podkreślamy: *codzienne*, bo tygodniowe uporczywie odwracało się od podniesionej wrzawy, a humorystyczne nie po raz pierwszy bynajmniej przy tej sposobności, złożyło dowody zdrowego sądu i uczciwych intencji, które na tych chochlików złośliwych nigdy się gniewać nie pozwalają. Ale codzienne... no! a już co do brukowych pism, to można im przyznać, że celebrowały na tej uroczystości.

Otóż, aby oddalony od Warszawy czytelnik wiedział także coś z tego, czem się tutaj zmuszeni są ludzie zajmować, przejmować i cieszyć, mamy sobie za obowiązek powiedzieć mu: Że trzydziestu kilku panów pojechało do Kielc na rowerach o 3-ej rano, i powróciło z tamtąd o godzinie 4, 5, 6 i t. d., po południu tego samego dnia — że było z tego powodu dużo radości u jednych, a dużo przygnębienia u drugich, że dzięki uprzejmej usługowości prasy miała War-

szawa (tak się pisze i mówi) telegramy wywieszane co godzina z każdej stacji, a podobno co pół godziny nawet — że co było namiętniejszego w mieście spieszyło na szosę radomską, aby powitać tryumfatora czy mistrza — że było tam przy tym powrocie dużo radości, zachwytów, objawów szowinizmu, wiele bardzo sporów, a jak słyhać, obelg słownych i czynnych także niemało — że nakoniec potworzyły się stronnictwa, wyrodziła walka niby o... zasadę jakąś, i że dzięki temu, kto wziął przez tydzień jakiegokolwiek pismo brukowe do ręki, ten oprócz tej jednej sprawy — oprócz terminów takich jak rekord, match, leder, finish i t. p., niczego więcej doczytać się tam nie mógł.

Bo też, ten finish to słowo nie lada, i jeżeli tego rodzaju objawów jak wymienione powyżej będzie w dalszym ciągu tyle co teraz, to nie z jednym u nas w krótkim czasie finish będzie zupełny.

A ze zdrowym sensem, przyzwyczajoną i zrozumieniem tego, co się godzi a co nie przystoi — przedewszystkiem. Gdyby się na ten finish nie zanosilo, przecież musiałyby raz zrozumieć pisma, pisemka i świstki rozmaite, że o żadnej zabawce, choćby nawet i rozumniejszej, tak długo, tak jednostajnie i tak namolnie ogółowi nad uszami klekotać nie wypada. Że większość ludzi normalnych co innego ma na myśli, i co innego w sercu, że od tego jest przecież jakieś tam specjalne pismo sportowe, i że pomawiać ogół myślicy, zapracowany, troszczący się i cierpiący o studia nad tak nazwaną cyklizyką i przejmowanie się tym, jak go zwa dzisiaj cyklizmem, jest impertynencją prawdziwą w dzisiejszych warunkach. Nie mówimy już o tem, że wysiłek potrzebny do przebieżenia 300 wiorst w 14 godzinach jest szaleństwem prawdziwym, i że podniecanie do niego przy pomocy zainteresowania jakie okazuje prasa, jest aktem wielkiej ze strony tej ostatniej niedojrzałości i nierozwagi w najlepszym razie. — Nie mówimy o tem wszystkiem, co z natury rzeczy tych 32 bohaterów i ich otoczenia wyłącznie dotyczy, ale zapyta w końcu znużona publiczność, co jej potem — co jej do tego, i z kąd bierze assumpt prasa brukowa do pomawiania powszechności o udział w tem dziecinństwie całem, a choćby o jakiegokolwiek dla niego uwagę i przychyłność? Czy mało mają tej maskarady mieszkańcy naszego miasta, ile razy przyjdzie im się wychylić na ulicę, czy to nie dosyć, że musi ktoś nie pozbawiony zdrowego rozsądku koniecznie spotkać się w piśmie codziennem z wiadomością głoszącą o tem, że znalazło się aż 32 ludzi, którzy nie umieją niczem poważniejszym zająć myśli, a dla muskułów swoich odpowiedniejszego wyszukać ćwiczenia, jak ten wysiłek szalony — czy nie dość tego wszystkiego, żeby w tydzień jeszcze po hecy karkołomnej wyczytywać było potrzeba na jakim rowerze jechał który kantorzysta — czy był on amatorem, wołem najętym, albo czem innym nareszcie — czy nadużył albo nienadużył zaufania jednej firmy, biorąc pieniądze od drugiej, i jak się na takie postępowanie to albo inne pismo zapatruje?

Przecież czas wielki byłby domysleć się, że na zabawach kantorowiczów i subiektów handlowych — na ich rozrywkach i upodobaniach społeczność taka jak ta nie poprzestawała nigdy i na przyszłość poprzestać nie może, że narzucanie jej tego ciągle i nieustępne jest nieposzanowaniem jej, a przedewszystkiem, niezrozumieniem zupełnem.



Tak znowu uporczywie pluskać się po powierzchni życia społeczności, której się niby ma służyć, nie wolno piśmiennictwu żadnemu — tak nie umieć zajrzeć na dno jej potrzeb i wysiłków, a zastawiać przed zgłodniałym strawy umysłowej czytelnikiem zawsze tylko tę lichą i zawsze tę samą sieczkę sportową, jest nareszcie nieprzyzwoitością zupełną.

Nie idzie o to, żeby sobie ktoś lubiący jazdę na rowerze miał tej przyjemności odmawiać, ale z drugiej strony jeśli część przeważna publiczności nie oddająca się tej rozrywce nie myśli jej zaprzeczać nikomu, godziłoby się pomyśleć i o tych także, którzy tego samego zamiłowania nie mają, a którym z tego tytułu nie powinno się naprzykrzać włożeniem w drogę, od wschodu słońca do późnej nocy, na ulicy, w mieście, za miastem, w druku — wszędzie gdzie wolno i niewolno.

Ale niestety przyznać trzeba ze smutkiem, że jest u nas taki brak wyrobienia towarzyskiego doprowadzający ludzi do nieposzanowania cudzej wolności, cudzych upodobań — i niedopuszczający tego na sprawiedliwości opartego poczucia, które nie pozwala mi ścieśniać praw człowieka, nie przykładającego się w niczem do ścieśniania moich.

Nie mówiąc już o ludziach, którzy, jak powiada Prus, noszą parasole wymierzone ostrym końcem w kierunku tego, który ma nieroztropność iść za nimi z tyłu, wiele jest — bardzo wiele codziennych przykładów takiego przekraczania granic dozwolonych jednostce, i takiego naruszenia praw, przysługujących innym. Kobieta, która kładzie na głowę piramidę, przeszkadzającą w teatrze widzieć cokolwiek siedzącym w drugim rzędzie po za nią — amator lub amatorka hodujący w domu pieska o przeraźliwym głosie, albo idący na przechadzkę z jaguarem, straszającym dorosłych i niedorosłych przechodniów — meloman, który przy dzisiejszych cienkich ścianach i sufitch domów, siada do fortepianu po dwunastej w nocy — czytelnik trzymający w cukierni jedno pismo przed oczyma, dwa inne pod pachami, a siedzący na jakichś jeszcze rezerwowych trzech lub czterech — reporter dziennikarski wycinający z gazety bez ceremonii w eukierniach lub czytelnikach ustępy potrzebne, a z przeglądów karty całej — cyklista dzwoniący sobie swobodnie na każdego przechodnia idącego przed nim, pomimo, że ten przecież ani na niego dzwoni, żeby sobie poszedł do licha ciężkiego, ani żąda czegokolwiek dla siebie od takiego pana — наконец dziennikarz piszący o tym cyklicie codziennie jedną przynajmniej szpalte, a przy dorocznym uroczystościach wypełniający nim pismo całe, z racji, że jemu samemu ta zabawka po myśli, albo że się nie ma czym innym podzielić z czytelnikami swymi — wszystko to są okazy jednego i tego samego gatunku, który daj Boże, aby zaginął u nas jak najrychlej.

Reklamowanie sportu kołowego dochodzi wogóle do bezwstydu. Oto świeżo interviewował niby Zolę jakiś pan, któremu romansopisarz francuski miał wyznać, że zdaniem jego rower jest czynnikiem uspołeczniającym, że wytwarza on koleżeństwo i przyjaźń i że niewątpliwie przeznaczone są te dwa kółka, aby z czasem zmieniły postać świata.

Nie potrzeba udowadniać, że to jest kłamstwo bezczelne, ale dobrze byłoby wiedzieć, co mógł dostać taki pan interviewer od fabryki rowerów za te kilka wyrazów.

A. S.

# NAD SIŁY.

NOVELA.

(Dokończenie.)

Z czasem pogłoski takie nabierały cech prawdopodobieństwa coraz większego. Widywano na ulicy pana Melchiora w towarzystwie jego córki, kiedy ta wychodziła z dzieciństwa, widywano go kiedy wkraczała w wiek panny dojrzałej; i dziecko i kobieta młoda miały zawsze wyraz swobody i szczęścia na twarzy, a oczy córki wpatrzone były zawsze z miłością w tę twarz z marmuru — w tę maskę nieprzystępną, jak się zdawało, żadnym uczuciom. Czy mogłoby tak być, gdyby pan Melchior był tem w domu, czem był dla urzędowego swego otoczenia?

Może być, że miały się tak rzeczy istotnie, ale w takim razie trzeba by w jakąś dwoistość natury ludzkiej uwierzyć koniecznie.

Pan Melchior wziął kartkę, tak jak mu podawano, zbliżył ją do oczu, odsunął od siebie, znowu zbliżył, wreszcie nie mogąc z niej nic wyczytać i wodząc błędnie oczyma po obecnych, zwrócił ją jednemu z urzędników, który stał najbliżej, dodając głosem ochryplym, jak gdyby ze ściśniętej krtani wychodzącym.

— Daruj pan, nie wiem nic... coś mi chyba wzrok przysłał... zresztą co to wszystko ma znaczyć i czego odemnie żądacie?

Ten, który odebrał depeszę podał ją zawiadowcy stacyi, zauważył że pismo trzymane było na wywrót, i dlatego spojrzawszy raz jeszcze w wykrzywioną przerażeniem twarz starca, uznał za stosowne szepnąć zwierzchnikowi.

— Zdaje mi się, że temu człowiekowi całej prawdy tak odrazu wyjawic nie można. Wszak on jest jak gdyby wółprzymotny. Jeżeli nie ma tutaj żadnego nieporozumienia, i jeśli to istotnie ojciec ofiary...

— Dobry pan sobie jesteś! Właśnie dlatego że jest ojcem, powinien o nieszczęściu dowiedzieć się pierwszy. Do kogoż to ma należeć jeśli nie do niego? W omówienia z człowiekiem dojrzałym bawić się przecież nie będę, bo to rzecz nie moja, a tutaj też nie jest gabinet lekarza chorób nerwowych, tylko miejsce urzędowe.

— A gdyby on tę wiadomość miał przyjąć... alboż ja wiem wreszcie, perswadował pomocnik, który z dziwnym współczuciem spoglądał w tę twarz pobladałą, odbijającą co chwila inny proces myśli i odmienną fazę walki wewnętrznej.

— A więc bardzo dobrze, radcież sobie z nim jak wola wasza. Ja odchodzę. Sprowadźcie mu lekarza, sprowadźcie kogo chcecie; nie mieszam się w to zupełnie.

To mówiąc opuścił kancelaryę, nakładając z akcentem znudzenia swoje czerwone kepi, i zostawiając kilku ludzi młodych dobrej woli, którzy istotnie nie śmieli rzucić w oczy przygniecionemu wiekiem starcowi, całym ogromem jego niedoli. Jakoż jeden z nich pobił obejrzeć się za lekarzem, który w tej właśnie godzinie przychodził do miejscowego ambulatorium, inni pod wpływem pogłębiającego wrażenia wysunęli się do sali sąsiedniej, a został ze starcem tylko ten jego protektor, który, o tyle o ile czas pozwalał,

chciał koniecznie przygotować biedaka do tego, co mu w tych lub innych wyrazach — w tej lub innej formie bądź co-bądź powiedzieć było potrzeba.

On tymczasem stał oparty plecami o ścianę, wzrok skierowany miał w sufit, nie zdawało się przytem aby dostrzegał to wyjście ludzi, ich poprzednie szepty przyciszone i narady tajemnicze. Co przeczuwał — z jakim duchem rozmawiał — jakie odgłosy nieznanego gromu tętniały mu pod czaszką — kto odgadnąć potrafi?

— Panie — odezwał się miłym głosem, zastępca zawiadowcy, dotykając ramienia starca, — możeby pan spoczął — i przy tych słowach przysunął fotel.

— Spoczął? Powiedziałeś pan? Dlaczego spoczął? Po co ja mam spocząć? Po co mnie zawołaliście tutaj? Ach, tak! — odezwał się nagle, jak gdyby sobie coś przypomniał, — daliście mi kartkę jakąś do czytania. Ja nie przeczytałem, bo tam na niej zdaje się nic nie było napisane. Co to wszystko jest? Powiedz pan jeżeli wiesz, ale ty chyba wiedzieć musisz, bo wszak to pan sprowadziłeś mnie tutaj. Jakże pan czy nie pan?

— Tak, to ja. Widzi pan — zaczął teraz z wysiłkiem młody człowiek, czując do jak ciężkiego zabiera się zadania, — sprowadziłem pana, bo zdarzył się na pociągu wypadek. My w takich razach wypytujemy osoby, które miały kogoś znajomego między pasażerami i dlatego wiedząc, że pan odprowadzałeś córkę, chcieliśmy dowiedzieć się jej nazwiska.

— Wypadek powiadasz? jaki wypadek? Komu? mówże na Boga, a mów wszystko. Pociąg się rozbił... zabici... ranni. Boże litościwy! Kto teraz dowie się?... jakim sposobem dostać się do niej?

Zerwał się z fotela, zagłębiając ręce w resztki siwych włosów i gorączkowo znowu przemierzać zaczął pokój, wymawiając urywane słowa, których tamten zrozumieć nie mógł. Było to, jak się zdawało bez związku między sobą, ale w każdym razie musiało odpowiadać jego myślom, trwogom i wątpliwościom.

Kilka razy próbował zatrzymać go w tej bieganinie urzędnik; chciał zwrócić na siebie jego uwagę. Daremne było wszystko; chodził ciągle wzdłuż i wszerz, ocierał uznojone czoło, kilka razy przeżegnał się, a zresztą poruszały się wargi jego szeptem tajemniczym. Czy modlił się, czy przerabiał ewentualności wszystkie oddawał mimo wiedzy i woli głosem część myśli tętniących mu w duszy — nie wiadomo było.

W sąsiednim pokoju przez ten czas znalazł się sprowadzony lekarz, i oto jaka się między nim i zebranymi urzędnikami zawiązała rozmowa dotycząca zaszłego przed pół godziną wypadku.

— Więc to wiadomość pewna?

— Najpewniejsza. Jest przecież telegram z P.

— Pokażcież ten telegram.

Treść dokumentu nie była obszerna. W niewiele wyrazach obwieszczał on dramat prawdziwy, a dla tego kogo dotyczył mógł być ciosem ostatecznym nawet. Oto te kilka wyrazów:

„Śmierć natychmiastowa kobiety. Z bezładnych odpowiedzi mężczyzny dowiedzieliśmy się tyle tylko, że dzisiaj rano pobrało się tych dwoje ludzi. Kto oni są — jakie ich nazwisko, nie wiadomo, bo on nie jest w stanie objaśnić. Jeśli ma przy sobie dokumenta, przysyłamy nazwisko niezwłocznie.”



— No dobrze, to jest jedno, ale zkadże śmierć?

— Ach tak, my nie daliśmy doktorowi żadnych szczegółów. Rzeczy miały się tak: Tych dwoje nieszczęśliwych po dzisiejszym ślubie wyjeżdżało pociągiem popołudniowym. Odprowadzał ich ten oto starowina, który siedzi w tamtym pokoju pod opieką naszego kolegi. Pożegnali się ze sobą, pociąg ruszył i nie upłynęło pięciu minut, przybiega do nas dozorca pierwszej zwrotnicy i opowiada, że młoda pani wychyliła się z wagonu za kimś zapewne, bo widział ją przedtem jak kiwała chustką, tymczasem pociąg miął pompę no... i stało się nieszczęście..

— Nic nie rozumiem.

— Głowa uderzyła o pompę, no i naturalnie musiała się roztrzaskać, przecież to w tem miejscu pociąg nabiera szybkości prawie normalnej.

— Bójcież wy się Boga! Więc ta pompa stoi tak blisko... Ależ to niepodobieństwo... to są straszne rzeczy. Jak zarząd pozwolił mógł na podobne nieszczęście? Czy były już jakie wypadki?

— Wypadków w ścisłym znaczeniu tego słowa nie było; były właściwie mówiąc ostrzeżenia tylko. Kilku ludziom zerwała kapelusze z głowy, podmaszynistę pociągu manewrującego uderzyła pompa w głowę dosyć nieszkodliwie, bo to było przy ruchu bardzo powolnym, ale nieszczęście zdarzyło się po raz pierwszy dzisiaj.

— To bardzo dziwne, że dopiero dzisiaj. W każdym razie przyczyni się to do waszej sławy i wierzajcie mi, że co do mnie, zrobię wszystko co będzie w moich siłach, żeby temu faktowi nadać rozgłos możliwy.

— Ale że to wy po tych, jak je nazywacie ostrzeżeniach, usnęliście sobie na oba uszy i czekali na trupa koniecznie. Niechże was! Doprawdy, wierzyć się nie chce. Powiedzcież mi dla czego czekaliście, dlaczego nie przestawiliście tego dyabła jakiegoś dalej od plantu?

— No... w każdym razie wymagało to pewnego zachodu, należało odsunąć pompę, przedłużyć ramię ruchome, przez które woda idzie na parowóz... zawsze to jest zachód, i dlatego poszła w odwłokę rzecz cała.

— Tak. To już teraz usprawiedliwieni jesteście zupełnie. Jak tylko miał być ambaras jakiś, a jeszcze koszt, to już narażenie życia człowieka jest przecie drobnym względem. Ale dzisiaj za to wolno wam powinszować sobie. Powiedzcież zresztą, czy tam na miejscu jest ślad jakiś?

— Tam — niewielki; znak krwawy na pompie jest wyraźny, a wreszcie my tu mamy dowód. — To mówiąc poprowadził doktora ku oknu i odkrywwszy sukno zielone ukazał mu kapelusz jasny kobiecy, a przy nim szmat skóry okrwawionej wraz z włosami jasno blond, wyrwanymi razem z tą skórą.

— Zapewne — szepnął doktor nakrywając sukniem te smutne dowody rzeczowe. — Po takim uderzeniu... a wreszcie tam na miejscu musi być coś więcej; wasz zwrotniczy nie zauważył, a może pilno mu było z tą wiadomością, więc chwycił co było pod ręką i spieszył do was. Tak... to się musiało skończyć na miejscu.. No a teraz, czego chcieliście odemnie? Jeśli szło wam o sławę, to już złożyłem wam i uznanie i gratulacje moje. Pozwolicie mi więc chyba odejść?

— Ależ nie... broń Boże! Tu jest przecież ojciec tej nieszczęśliwej.

— Zkadże znaleźliście ojca tak odrazu? Doprawdy wam się wszystko dziwnie powodzi. I zapewne chcecie wyręczyć się mną i zwiastować mu radosną wiadomość przez moje usta, bo wam własna skromność na to nie pozwala, co jest bardzo chwalebne z waszej strony.

— Jużciż my coś niecoś, powiedzieliśmy już temu biedakowi; kolega, który jest tam z nim razem, objaśnił go, że był wypadek na pociągu, dał mu do zrozumienia, że idzie o jego córkę, ale na pierwsze zaraz napomknięcie wpadł w taki stan szczególny, że się od niego nic dowiedzieć nie było można potem, a i on sam nie zdaje się rozumieć tego co się do niego mówi. Pojmuje doktor, że nie chcieliśmy brać na siebie odpowiedzialności. Człowiek stary, a nużby..

— Oszalał, albo uległ atakowi paralitycznemu?.. Z serca życzyłbym mu jednego albo drugiego, tak jak wam wszystkim zbiorowo życzę, żeby was dyabli porwali za waszą dbałość o życie ludzkie, i za wasz system oszczędnościowy. No prowadźcież mnie do niego... albo zaczekajcie, lepiej będzie wprowadzić go tutaj, a wy sobie pójdźcie do licha. Przypatrzę mu się... zobaczę...

Już wychodzili, kiedy ich doktor wrócił ode drzwi i z wyrazem refleksyi w twarzy zapytał wolno a dobitnie:

— Jeszcze jedno! A czy wy zupełnie pewni jesteście swojego? Bo tu idzie raz o sam fakt, który wydaje się prawie stwierdzonym, jeśli zestawimy depezę z dowodem rzeczowym, ale idzie jeszcze i o drugą rzecz, a mianowicie: czy nie będzie tu jakiego „qui pro quo?”

— Jakie „qui pro quo?” Przecież tu nie ma cienia wątpliwości. Jakim sposobem?

— No dobrze, dobrze. Skoro zapewniam, skoro wszystko takie niewątpliwe. Co do mnie, pamiętajcie, że ja mam tego człowieka zobaczyć po raz pierwszy w życiu.

Stało się jak rozporządził.

\* \* \*

W kwadrans potem otwierał doktor drzwi do kancelaryi zawiadowcy i wzywał tego, który pilnował starca. Pozostawiając go na straży nieszczęśliwego, usiadł sam naprzeciwko naczelnika stacyi, który tu przyszedł podczas jego nieobecności, i zamyślił się oparłszy głowę na rękach.

— No i cóż, doktorze? — pytali wszyscy.

— A cóż ma być? Wiele z tego co ja mówiłem on nie zrozumiał, ale miał dosyć tego coście mu powiedzieli wy, a czego mu tam jeszcze brak było, to zrobił ten wasz dowód materialny. Tak. Teraz już on wie chyba wszystko.

— I jakże z nim?

— Jak? Nie dobrze. Człowiek stary... chociaż kompleksy wyjątkowo zdaje się silne. Symptomata chwilowe za to wcale nie pomyślnie wróżą. Tak! wrażenie musiało być gwałtowne bardzo.

— I co będzie doktorze? Co będzie?

— Zabiera się na proces cerebralny, o ile przewidywać wolno — ostry bardzo.

— To już pewne, niechybne?

— Prawie.

— Co z nim zrobić?

— Odwieźć do szpitala jak najprędzej. W takich razach pośpiech nie jest bez znaczenia.

— A możeby do domu?

— Alboż wiecie gdzie jego dom, czy ma wogóle dom jakikolwiek, wreszcie kim on jest...

— Możeby się można dowiedzieć czegoś jeszcze.

— Chyba od kogoś z tych co go znają; on sam nie powie wam nic o sobie teraz.

— Nieprzytomny?

— Zupełnie.

.....

Kiedy ruszała z przed dworca dorożka do szpitala Ś-go Rocha z panem Melchiorem i jego towarzyszem, dzwonić zaczynał w najlepsze telegraf zarządu, przynosząc dane szczegółowe zupełnie o osobie ofiary nieszczęśliwego wypadku.

Co zwiastowały teraz znowu te wiadomości?

Dla jednych cios bolesny — dla tego, któremu wrócić one mogły życie i szczęście, z woli Opatrzności było tym razem.. za późno!

.....

Co się stało? Czy była ofiara? Kogo los wybrał sobie z pomiędzy dwóch tysięcy blisko pasażerów pociągu?

Ofiarą była istotnie młoda, dzisiaj zaślubiona kobieta, ale ta nieszczęśliwą córką pana Melchiora nie była wcale.

Po głowę tamtej drugiej wyciągnęło mściwą rękę tajemnicze fatum, które poplątało rozum ludzi, aby liczbę nieszczęśliwych podwoić.

Stała się rzecz dziwna — szczególna — prawie, że niepodobna do prawdy.

O tamtej świetnej, bogatej parze młodych ludzi zapomnieli chwilowo wszyscy, i wszyscy w niepojętem zaślepieniu czepili się tego oczekującego starca, wydobyli z niego to co im się zdawało niechybnem, pewnem, nie podlegającym wątpliwości na jego zgubę.

Dzięki tej fatalnej pomyłce uległ nieszczęśliwy porażeniu mózgowemu, z którego wyszedł wprawdzie po paru tygodniach, ale zdruzgotanej władzy myślenia nie odzyskał już nigdy.

Nawet widok córki nie oddziałał na niego; zdawało się, że ją poznaje, ale jasnego pojęcia o tem, że to jest ona — istota żyjąca — to samo jego dziecko jedyne a ukochane tak gorąco, wyrobić sobie nie był w stanie.

Do samowiedzy nie przyszedł, a więc i tego pewnika stwierdzić nie mógł, że ma jednakże to życie boleści „nad siły” ludzkie.

α.

## Dwa gimnazya żeńskie.

Komunikowaliśmy już w roku bieżącym czytelnikom naszym wiadomość o zatwierdzeniu pierwszego w Galicyi gimnazjum żeńskiego. Inicytatorami tej arcyważnej sprawy byli profesoro- wie: Napoleon Cybulski i doktor Bronisław Trzaskowski. Oni pierwsi podali myśl i za ich staraniem zorganizowało się stowarzyszenie popierania średniego wykształcenia kobiet w Galicyi, a zadaniem jest przedewszystkiem dostarczenie środków materialnych, na których ma się opierać ta powstająca instytucja.

Obecnie donoszą pisma galicyjski o otwarciu gimnazjum w Krakowie, którego nauczycielami są dotąd mężczyźni sami, a przełożoną pani Dą-



browska. Poświęcenia szkoły dopełnił kanonik katedralny doktor Spiss, profesor uniwersytetu. Pierwsza klasa odpowiadać ma trzeciej klasie gimnazjalnej męskiej z wyjątkiem łaciny, która wykładana będzie wedle kursu klasy I gimnazjum męskiego.

Niemcy, które na polu wyższego wykształcenia kobiety stawiają pierwsze dopiero kroki, ogłaszają sprawozdanie z ich jedynego gimnazjum, założonego przed trzema laty niejako sposobem próby w Carlsruhe w Badeńskim. Sprawozdanie brzmi ze wszelkich względów zadawalniająco. Dotychczasowe trzy klasy gimnazjum, które się tu nazywają: Untertertia, Obertertia i Untersecunda, wykazały jako rezultat postęp naukowy bardzo pomyślny, przy wybornym rozwoju strony fizycznej wychowanic. Ostatni ten wzgląd jest przedmiotem wielkiej bacności ze strony zwierzchności pedagogicznej.

We Wrześniu r. b. otwiera się tak nazywana tutaj obersecunda, odpowiadająca naszej klasie czwartej, tak że pierwsze uczennice opatrzone patentem dojrzałości opuszczają gimnazjum w roku 1899-ym. Oplata szkolna w Carlsruhe wynosi rocznie 150 marek.

Tak więc i w Niemczech i w Austrii, jak to na przykładzie krakowskiego gimnazjum widzimy, gimnazya uprzedzają przypuszczenie faktyczne kobiety do studyów uniwersyteckich.

Nie należy zatem zrażać się wstępniemi formalnościami i pozornem zamąceniem tej sprawy, ani utrudnieniami na jakie natrafia kobieta pragnąca wstąpić na uniwersytet. Tu i tam rzecz musi być rozstrzygnięta w zasadzie na korzyść uniwersyteckiego wykształcenia w przyszłości, w przeciwnym razie trudno byłoby pojąć myśli zakładania gimnazjów żeńskich, których inaczej jak za szczybel do wyższego ukształcenia uważać nie można.

T. M.

## NIOBE.

### POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Jonasa Lie.

Nie różowych barw używają powieściopisarze norwescy do odmalowania młodej społeczności swojej.

Stary obyczaj, dawna rodzina, zasady któremi się rządzą ludzie ustępujący z pola—to wszystko wyszydzone, skrytykowane, odsądzone, schodzi tragicznie, zapada się w otchłań, ginie bez echa żalu i współczucia młodych. Spójrzmy na pokolenie nowe takie, jakim przedstawia je autor „Niobe” — utworu o którym nie wolno nam powiedzieć, czy odbija w sobie wiernie ducha i kierunki epoki, czy jest bolesnym krzykiem i protestem sprawiedliwym, czy wytworem rozgoryczonego pesymizmu tylko. Nie znamy tej społeczności, niechże za wierność reprodukcji życia młodych w tym narodzie odpowiada autor sam. W każdym razie talent jego niezaprzeczone będzie mu chyba obrońcą bardzo wymownym.

Związek małżeński prowincjonalnego lekarza Barwiga i jego żony Benty pobłogosławiła Opatrzność sześciorgiem dzieci.

Rodzice, to ludzie szlachetni, czysti życiem, silni pracą i miłością wzajemną, oddani obowiązko-

wi dosyć szeroko pojętemu. Bez winy nie są bo z dwóch synów najstarszych, jeden Kel jest faworytem ojca, drugi Andrzej ulubieńcem matki. To już stanowi samo przez się grzech niepośledni.

Dorastająca córeczka Mina oczkiem w głowie u obojga; Berta to podłotek dopiero, a najmłodszy: Arnt i Massi są dziećmi jeszcze, które kształci w domu uczony Szulteiss, nauczyciel, rodzaj Quasimoda urodą, zresztą człowiek zacny, światły, zakochany duchem i nieduchem w swojej uczennicy Minie, w której widzi gwiazdę — geniusz i chwałę przyszlą domu.

Andrzej kształci się na duchownego w uniwersytecie, ale w niedługim czasie donosi rodzicom, że to nie jego droga; teraz dopiero się opatrzył, że filologia stanowi jego powołanie. Póki szło o zmianę teologii na naukę języków zmarłych, nie protestował tak bardzo doktor Barwig, ale niebawem zawiadamia Andrzej, że i teologia i filologia to były tylko obrzydłe więzy dla jego ducha, bo on teraz dopiero trafił na swoje. Miłuje sztukę po nad wszystko, a jego tenor zapewni mu sławę i miliony. To się już o wiele mniej podoba ojcu; syn tenor nie jest ideałem dla starego lekarza, ale matka broni go uporczywie, i gdy ojciec odmawia funduszu na dalszy pobyt w mieście, ona poświęca swój skromny posag, byle tylko ukochane dziecko mogło pójść za głosem przekonania.

Choćbyśmy nie chcieli wyprzedzać wypadków, musimy, i aby raz skończyć z tym Andrzejem, opowiedzieć dalsze jego koleje. Marzenia jego o dostaniu się do opery nie są bynajmniej ostatecznemi, ideał śpiewaka w wielkim stylu zmienia się w zachciankę tryumfów operetkowych, jako zgodniejszych z duchem czasu. Potem chybiony tenor przerzuca się do dramatu, a nakoniec daje za wygraną wszystkiemu, i zostaje wykołojonym szaleńcem, którym był od początku — pyśzałkiem, który umiał wszystko, skrytykować i poniżyć, ale dokonać niczego nie umiał. Nie szczędzi on przez cały ciąg surowej krytyki rodzicom, i ze szczególnem zamięłowaniem zajmuje się analizą swojej indywidualności. Jako typ — wyborny.

Matka tedy jak widzimy, dosyć nieszczęśliwie ulokowała swoje uczucia, ale i ojcu nie lepiej się powiodło. Jego faworyt Kel ma to być niby człowiek czynu — praktyczny, rzutki, przedsiębiorczy, tymczasem ta rzutkość ogranicza się do wyrafinowanego eksploatowania ojcowskiej kieszeni, a przedsiębiorczość do zaciągania zobowiązań nad sens i możliwość, któremi obarcza do czasu tego ojca słabego a nakoniec swoim hazardem doprowadza nieszczęśliwego starca do pokłócenia się z przeszłością własną, zaprzeczenia najfundamentalniejszym zasadom, i dopuszczenia się w końcu uczynku, którego poczucie honoru przeżyć mu nie pozwala.

W toku powieści żeni się Kel z niejaką Teklą Feiring guwernantką, typową kobietką przyszłości, której nie schodzi z ust urągliwa krytyka wszystkiego co było, która ubolewa, że stare wsteczniectwo każdy związek duchowy między mężczyzną a kobietą oślinia niecnemi podejrzeniami, a tymczasem sama już, jako mężatka i matka zawiązuje bliską znajomość z doktorem Stevigiem, rozpoczynając pracę nad reformą wychowania, a kończy stosunkiem o wiele bliższym niż ten, na który obcowanie duchowe pozwala.

I ci dwoje małżonków niemiłosiernie obchodzą się ze wszystkimi zapleśniałymi przesądami,

i chociaż odmienni zupełnie, warci są siebie nawzajem.

Minka, nieletnia emancypantka, po za wiadomością ojca, matki i nauczyciela pisuje do postępowego organu: „XX-te stulecie” artykułiki o wyjarzmieniu kobiety, a dokończa swojej edukacji na pierwszej dalekiej wycieczce górskiej, na którą się puszcza w towarzystwie ludzi młodych płci obojga, pomimo że biedni staruszkowie tak miłosiernie ją proszą, aby się wyrzekła tej wycieczki i tego towarzystwa.

Tam też zawiązuje pierwszy stosunek z inżynierem-okultystą, z którym później po wielu przejściach wyjeżdża do Ameryki jako medyum. Ponieważ oboje są ludźmi moralności niezależnej, więc nie będzie się nikt dziwił, że w kłopotach poprzedzających tę podróż daleką, zaniedbali dopełnienia przedwstępnych formalności, któremi stare wsteczniectwo zwykło legalizować stosunek dwojga osób, udających się na spacer kilkoletni.

Gdy i córka Berta nie o wiele lepiej sobą rozporządza, wydaje się ten dział rodzicielskiej niedoli nadmiernym dla biednej matki, która kończy tak jak skończył jej mąż.

Żalować trzeba dwojga staruszków w każdym razie, ale nie można się oprzeć wrażeniu, że bądź co-bądź byli oni do pewnego stopnia twórcami losu własnego i dzieci swoich. Zbyt łatwo dawali im się przekonywać o wymaganiach jakiegoś niby ducha czasu, zbyt mało wierzyli w siłę i świętość zasad, które ich prowadziły przez drogę własnego życia nieodstępnie, zanim zaczęli ufać więcej dzieciom niż samym sobie. Szli od ustępstwa do ustępstwa i doszli oczywiście tam, z kąd nie ma powrotu.

Obraz cały jak gdyby przeznaczony na stwierdzenie tego, że nie tylko Francja utyskuje na to co się dzisiaj w tym kraju określa przez stosunek rodzinny, w którym widzi się tylko zbuntowane dzieci i rodziców winowajców: („enfants revoltés et parents coupables.”)

Sens moralny: Nie ma głupszej jednostki ludzkiej od tej, która znaczy pierwsze kroki swoje na świecie ryczałtorem potępieniem przeszłości, ani marniejszego pokolenia jak to, któremu się uwidzi, że ono rozpoczyna wszystko, a to co po za niem to nicość, ciemnota i przesady.

Książkę polecić można szczerze starym i młodym zarówno. Pierwsi znajdą tam ważne dla siebie ostrzeżenia, drugim przydać się ona powinna bardzo. Dlaczego powinna? — niechaj im odpowie ich sumienie własne.

S.

## Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

### III.

„Szafiru w oknie szmat i gwiazd srebrzyste [ćwieki,  
Przestrzeni wielki wiew świeżości wpada falą,  
Gdzieś w głębi widma drzew, światelka w mgle [się palą,  
I jak wód głuchy spad, Paryża gwar daleki.



A wewnątrz młody świat, rytm wierszy, szkiców  
[teki,  
Za ścianą skrzypiec zew, struny się tęsknie  
[żałą,  
I rzewny, szkocki śpiew, w którym się lzy kry-  
[ształą,  
Żar dysput, śmiechu kwiat, szal rozmarzenia  
[lekki,

Oto ramy, z których najwydatniej występuje  
jedna z najoryginalniejszych postaci, zasiadają-  
cych dzisiaj urwiste zręby naszego Parnasu.

Gwar wielkiej stolicy, ogniskującej w sobie  
prądy umysłowe świata całego, atmosfera arty-  
styczna, którą tylko wielkie zbiorniki cywilizacji  
wytwarzają z łatwością, są to żywioły dla roz-  
woju zbudzonej już indywidualności twórczej  
w wysokim stopniu przyjazne. Duch ptak z ta-  
kich szczytów cywilizacyjnych, jak orzeł z iglic  
górkich zrywa się do lotów śmiałych, w bezgra-  
niczną dalekie. Talent w atmosferze takiej rośnie  
w siłę, potężnieje. Ale zdobywa też zarazem ja-  
kiś charakter egzotyczny.

Wchłanianie chciwie pierwiastki kosmopolitycz-  
ne nadają mu zabarwienie, którego nie pozbywa  
się łatwo, czasem nigdy.

Takim kwiatem egzotycznym, barwnym i błysz-  
czącym jest dla nas twórczość Miriama (Zenona  
Przesmyckiego). By postać poety tego zrozu-  
mieć, i właściwe jej miejsce w piśmiennictwie na-  
szem naznaczyć, nie trzeba zapominać o ramach,  
w których ukazała nam się na początku, o tym  
kosmopolitycznym świecie młodych artystów, któ-  
rych dysputom, pieśniom, śmiechom, porywom  
wyobraźni towarzyszył głuchym wtórem „Paryża  
gwar daleki.”

Już w umieszczonym na pierwszym planie na-  
szego szkicu fragmencie daje się poznać Miriam  
jako pierwszorzędnego mistrza formy. Jest nim is-  
totnie w każdym, niemal najdrobniejszym ustę-  
pie, który z pod pióra jego wyszedł kiedykol-  
wiek. Jego sonety, cantyleny, canzoni, romanse  
ronda to klejnoty z kamieni drogocennych mi-  
sternie budowane, to kamee, w których drobnym,  
chłodnym, kamiennym kształcie zaklęty, lśni duch  
piękna. Nietylko mistrzem jest Miriam, ale i mi-  
łośnikiem tych form wyszukanych, wykwinnych,  
a dotąd obcych prawie poezji naszej.

Przypatrzmy się, jak wygląda ulubione mu  
rondo.

„Rondo jak brylant pod słońcem błyska  
Jak święta Grala z opalu miska,  
Tęcza, barw i światła mieni się zorzą,  
A nie jest piewcy ciężką obrotą,  
Lecz plodem tajnych mocy igrzyska.

Rzucam rym naksztalt greckiego dyska,  
Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,  
Składa się w strofy, a strofy tworzą  
Rondo.

Eolska gęźba! dla dum kołyska!  
Cóż mi symplistów urągowiska!  
W krągłe kielichy kwiaty się mnożą,

Kolisto usta w calus się złożą,  
Kolistym rytmem samo wytryska  
Rondo.”

Czy kiedy czytacie to *Rondo*, nie ukazuje się  
oczom waszym wąż dyamentowy, czy nie widzi-  
cie, jak zwią i rozwija iskrzące skręty i blaska-  
mi swymi urąga szarej powszedniości bytu? Obok  
tego drogiego klejnotu godzi się postawić  
tylko ową „urnę helleńską,” czy „czarę Benwe-  
nuta kutą w ametyście,” znany czytelnikom „Ty-  
godnika” *Sonet Miriama*, albo taką czystej wody  
perelkę jak *W pamiętniku*, sonet w trzech czę-  
ściach:

Dziś

„Za pełny woni, świeżości kwiat  
Perelki rymów, na rymów sznury,  
Nawlekam chętnie, na życia chmury  
Słoneczność pieśni rzucam rad.

Po latach.

Minęły lata, dziesiątki lat,  
Kwiat miał czas uschnąć raz nie wiem który,  
A moich liter zbladły kontury  
I rozwił wiatr przeszłości ślad.

W wieczności.

Kwiat schnie, lecz żyje wieczyste woń  
I błdzi smętnie przez światów toń,  
Pismo się starło — melodia słodka

Kraży w przestrzeniach jak widmo pieśni,  
Gdy jedna z drugą wreszcie się spotka,  
Dziś może lepiej się ucieleśni.”

Tych kilka wyjątków daje czytelnikom pojęcie  
o wysokiej wartości artystycznej prac Miriama.  
Jest to arystokrata formy, gardzący wszystkim,  
co mierne, powszednie, pospolite, dla natchnień  
swoich szukający egzotycznych sukienek, nowych  
form wiersza, rymów wyrafinowanych, rytmów  
o niezwykłym dźwięku, rozkochany w doskona-  
łościach mowy.

Porównałam twórczość Miriama do barwnego,  
egzotycznego kwiatu, tu dodać trzeba, że wyo-  
brażam ją sobie jako kwiat zamknięty w migot-  
liwej bryle kryształu, duch skuty w więzy formy  
tak wyszukanej i doskonałej, że przewaga znaj-  
duje się stanowczo po jej stronie. Czyni to Mi-  
riama wśród współczesnych i dawniejszych poe-  
tów naszych, zjawiskiem zupełnie wyjątkowym.  
W poezji naszej, mówiąc ogólnie, duch rozsądza  
formę, nagina ją stosownie do swoich wzlotów  
i spadków, urabia podług własnych wahań i po-  
rywów. A widzimy to nie u pisarzy drugorzęd-  
nych, nie u nieudolnych bynajmniej; uderza nas  
to w rzeczach, które za „przedziwności języka  
polskiego” uznano.

I nie jest to objaw przypadkowy, lecz zostają-  
cy w harmonii zupełnej z charakterystyką ogól-  
ną naszego plemienia.

Miriam, u którego polot ducha krępują cu-  
dodne kryształy formy, stoi na uboczu samotny,  
nie dający się z nikim porównać. Czy przyczyn  
odrębności tej szukać należy we wpływach Za-  
chodu, czy też tkwią one w głębinach organiza-

cy artystycznej poety, jest na tę chwilę pytaniem  
bardzo trudnym do rozstrzygnięcia. Kiedyś mo-  
że przyszłość odpowie na nie.

Poświęciwszy tak wiele miejsca zewnętrznej  
szacie utworów Miriama, zajmijmy się nieco ich  
treścią.

Wobec arystokratycznego upodobania poety  
w wyrafinowanych pięknościach formy, wobec wy-  
raźnego wstrętu do wszystkiego, co proste, zwy-  
kłe, pospolite, należałoby spodziewać się jakie-  
goś *nitscheizmu* w myślach, w poglądach jego.  
Z niczem podobnym nie spotkamy się u Miria-  
ma. Misternie cyzelowane czary swoje wypełnia  
on niejednokrotnie winem marzeń o wieku zło-  
tym, w którym miłość pojedna słabych i silnych,  
pobrata ludy i jednostki.

„Oto tuli w ramiona  
Chłopka pana, dla pana,  
Święta chłopska sukmana i t. d.”

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Odpowiedzi od redakcyi.

*Prenumeratorce G. z Krasnego stawu.* List sza-  
nownej pani zakomunikowaliśmy autorce.

## PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie		na Prowincyi	
Rocznie . . .	rs. 4	Rocznie . . .	rs. 5 k. —
Półrocznie. . .	rs. 2	Półrocznie. . .	rs. 2 k. 50
Kwartalnie . . .	rs. 1	Kwartalnie . . .	rs. 1 k. 25

Adres redakcyi: *Chmielna Nr 26.*

Numer 36 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki naukowe. — Władysław Nowicki: Li-  
sty Ciekawskiego z Wystawy Hygienicznej. —  
W imię Boże (z drzeworytem). — Lekcja fran-  
cuzkiego, fraszka sceniczna. — Michał Synoradz-  
ki: Sąd Boży, powieść z czasów Ryszarda Lwie-  
Serce. — Walka pancerników (z drzeworytem). —  
Z widoków Włocławka (z drzeworytem). — Nie-  
cierpliwy kotek, wiersz (z drzeworytem). — Sza-  
nuj służących. — W zaklętym królestwie. —  
W rozłące. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Za-  
dania i lamigłówni

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek  
z modami.

TREŚĆ: Od redakcyi. — Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Warszawa, w Sierpniu 1896 roku. — Nad siły, nowela (dokończenie). —  
Dwa gimnazya żeńskie. — Niobe. — Nasi najmłodsi (ciąg dalszy). — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM: Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład  
Bronisławy Kowalskiej (arkusz 2).



# M-le de MOYSARD

SUKNIE, KOSTYUMY TAILLEUR, AMAZONKI,

HORTENSYA 7.

## Magazyn Bielizny, 8-to Krzyzka 20, JULII JACKOWSKIEJ

48914  
poleca w wielkim wyborze po cenach umiarkowanych bieliznę: męską, damską, dziecienną, bluzki, batysty, kretony, prześcieradła i ręczniki kąpielowe. Przyjmuje koszule do wstawiania: gorsów, kołnierzy, mankietów.

## NOWOŚĆ! Ważne dla Pań!

Wykwalifikowany majster cechowy zawsze powodujący się sposobami paryskimi, na podstawach długoletniej praktyki i doświadczeń, wyucza piękny kroju zupełnie prostym poglądowym sposobem, na własnego wynalazku figurach i tablicach, z zastosowaniem kroju systemów Francuzkiego, Angielskiego i Wiedeńskiego. Przystępny wykład rozmaitych odmian figur, pasowania staników, amazonek, okryć i t. p. objaśnień **najdokładniej** wyu. zam w **przebiegu** miesiąca. System mój tak ułatwiony, nieznany dotąd ani w kraju, ani za granicą.

Warszawa, Nowy-Swiat Nr 9.

E. STAWENO.

48716

## Biuro Nauczycielskie JADWIGI JAHOLKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazjum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład frebblowski L. Jaholkowskiej. 48426

## Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

# STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

## Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensjonarki i pensjonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersację w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższym znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensjonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie. Rok szkolny zaczyna się 5 Września.

## Frebblowskie kursa Zakład Jadwigi Chrzęszczewskiej Nowy-Swiat Nr 21.

Przyjmuje przychodnie pensjonarki. Konwersacja francuska. Cena przystępna.

# ! WYPRZEDAŻ !

pozostałych towarów z Magazynu

# E. L O T H

jako to: Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dzieciennych, oraz męskich wyłącznie słomkowych, również Kwiatów po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blisko 8-to Krzyzkiej).

## SZKOŁA

Hiliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensjonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychewicza i Wiśniewskiego. Półrocze rysunków **rs. 12.** Półrocze haftów artystycznych **rs. 12.** Kursa otwarte 2 Września.

HORTENSYA Nr 7. 47756

## Marya MATUSZEWSKA Przełożona Pensji Żeńskiej

w Warszawie, przy ulicy Leszno Nr 28.

Zawiadamia, iż zapis uczennic na rok szkolny 1896/7, tak przychodzących jak i pensjonarek, odbywa się codziennie od 10-5-ej, kurs nauk zaczyna się 1-go Września.

## MAGAZYN DZIECINNY Z. ŁASKIEJ,

Chmielna 18 (przy Brackiej),

Największy wybór gotowej konfekcji dziecienniej. Przyjmuje się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.

48128

## PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicy Ginejko przy zakładzie Jadwigi Chrzęszczewskiej  
frebblowski w Warszawie, Nowy-Swiat 21. 474626

## Woda Mexico



WSTRZYMUJE  
wypadanie  
WŁOSÓW

## PUDER WARSZAWIANKA.



PUDER  
WARSZAWIANKA.

## Woda Kolonńska LUBELSKA Feliha Warszawskiego.

Dostać można w składach aptecznych i perfumeryach.

4561552

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga REUSSNERA:

## Najlepsza Metoda

do nauczania się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3-ci MIESIĄCACH**, po angielsku w **24-ci LECYACH**. Cena metody niemieckiej, kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METO. DA ANGIELSKA** z wymową kurs 1 k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. **"SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZ: POLSKO-NIEMIECKI I RUSKO-NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora Reussnera) **ZŁOTA 6**, w Warszawie. 4181424

## Szkoła Prywatna Męzka

przy ulicy Chmielnej numer 13, przygotowuje uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać. Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancja dla uczniów szkół prywatnych. Zapis ołbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przełożony Szkoły **R. KOWALSKI**, 48234 b nauczyciel szkół rządowych

Warszawa, ulica DEUGA № 5



## WINA ZAGRANICZNE, Koniak „IMPERIAL.”

Wybór wielki. — Ceny najniższe. 4171696

## OGŁOSZENIA

przyjmuje Administracja

26. CHMIELNA 26.

oraz

WARSZAWSKIE BIURO OGŁOSZEŃ  
8. WIERZBOWA 8.

## BIURO KOMISOWE UNGRA

Warszawa, Krak.-Przedm. 9. Stale posiada na składzie nowe i używane:

**Biblioteki** dębowe, orzechowe, mahoniowe.  
**Blurka** męskie i damskie.  
**Dywany** perskie, bucharskie, francuskie i syberyjskie.  
**Ekrany** mahoniowe.  
**Fortepiany** i pianina.  
**Kredensy** dębowe, orzechowe, mahoniowe.  
**Krzesła** dębowe i gietę.  
**Lampy** stojące i wiszące.  
**Lustra** czarne, dębowe, orzechowe, złoczone.  
**Łóżka** orzechowe, mahoniowe i żelazne.

**Meble** salonowe i fantazyjne.  
**Obrazy** i dzieła sztuki.  
**Otomany** juta lub dywanem kryte.  
**Stopy** drewniane i stiukowe.  
**Stoly** dębowe, orzechowe, czarne.  
**Szafy** dębowe, orzechowe, mahoniowe.  
**Szkló** i porcelana.  
**Toalety** orzechowe, mahoniowe.  
**Umywalnie** orzechowe z blatami marmurowymi.  
**Zastawy** brązowe na blurka.  
**Zydlé** dębowe.  
**Zyrandole** i kandelabry.

CENY NIZKIE.

2469

## W Zakładzie Naukowym 6 k. MARYI RAUM

Nowy-Swiat Nr 15 (róg Jerozolimskiej).

Egzamina wstępne rozpoczyna się dnia 2 Września, lekcy 5 Września; zapis pensjonarek i uczennic przychodzących od 26 Sierpnia, między godziną 10-5 po południu.